

Oświadczenie
 Główny odpowiedzialny:
Teodor Zychliński z Poznania
 Administracja i ekspedycja: Wileńskie N. 6.
 Skraj redakcyjny: Lipowa ul. No. 1
Poznań
 Wychodzi co tydzień z wyjątkami poniedziałkowymi
 i niedzielnymi.
 Wiosna 1922 r.
 Cena ogłoszeń (inaczej):
 1000 wierszy drugiego 1 str. 800. — Inaczej na
 wiersza drugiego 1 str. 1000. —
 Misy
 Redakcja, administracja i ekspedycja: Wileńskie

DZIENNIK POZNAŃSKI

Przepróża kwartowa
wynoś w Poznaniu 3 tal. 16 szr., w monachy praskiej 3 tal. 21 szr. 8 funt., w Austrii 4 tal. 16 funt. w Niemczech 3 tal. 31 szr. 4 funt., w Francji 15 szr. w Anglii 1 funt., w Szwajcarii 6 tal. 16 szr., w Danii 4 tal. 2 szr., w Włoszech 23 szr., w Rzymie 30 szr. w Szwajcarii 20 szr. 8 funt., w Turcji 23 szr. 8 funt. w Ameryce 8 dol.

Przepróża 1 ogólnowa
przepróża 1 ogólnowa w Poznaniu 3 tal. 16 szr., w monachy praskiej 3 tal. 21 szr. 8 funt., w Austrii 4 tal. 16 funt. w Niemczech 3 tal. 31 szr. 4 funt., w Francji 15 szr. w Anglii 1 funt., w Szwajcarii 6 tal. 16 szr., w Danii 4 tal. 2 szr., w Włoszech 23 szr., w Rzymie 30 szr. w Szwajcarii 20 szr. 8 funt., w Turcji 23 szr. 8 funt. w Ameryce 8 dol.

AGENCJA DZIENNIK A POZNANSKIEGO.

W Wroclawiu: Jenke & Saringhausen, Junkerstrasse 12. — W Krakowie: Józef Czech, księgarz i Administracya Dziennika „Kraj”. — F. H. Richter, księgarz i nakładca Strzechy we Lwowie przy placu Maryackim. — W Paryżu (przyjmują przedpłatę): Librairie du Luxembourg, Rue de Tournon No. 16 i pułkownik Raczkowski, Rue du Pont de Lodi 1. — W Londynie: księgiarnia H. Bender, 8 Little Newport Street, Leicester Square W. C. — **Ajencye do przyjmowania ogłoszeń:** Na czele Francya w Paryżu pp. Havas, Lafitte, Bullier & Comp. Place de la Bourse No. 8. — W Hamburgu, Francuskie n. M. Berling, Lipsku, Wiedniu i Bazylei: Hasselstein & Vogler. — W Berlinie: Buchl Meiss (z. Friedrichstrasse 50). — A. Refemeyer, B. Albrecht Tambenack 34. — W Bramie: E. Schlotte. — W Lipsku: Eugeniusz Fort, Sachse & Comp. W Frankfurcie n. M. Drube & Comp. — W Wroclawiu: Priebatsch, Ring. — W Buku St. Bajoski: w dwugłoszce: Tomasz Śniegocki; w Gnieźnie: A. Wierszicki; w Inowrocławiu: A. Kryszewski; w Rostynie: Swoboda; w Krotozwynie: Ludwik Ciemierski; w Obornikach: F. W. Bakowski; w Ostrowie: J. Priebatsch; w Pleszewie: L. Zboralski; w Śmiglu: T. Radkiewicz.

POZNAŃ. 2 grudnia.

Mowa tronowa cesarza Napoleona jest obecnie przedmiotem uwag całego dziennikarstwa europejskiego. Znana większość pism, które nas doszły, pochlebnie się wyraża o postępie w duchu konstytucyjnym, jak i słów monarchy Francuzów przebiega. Postęp ten zaświadcza nie tylko Koeln. Ztg i N. fr. Presse, ale i Nordd. Allg. Ztg, która w ogóle z wielką przychylnością o cesarzu Napoleonie od niejakiego czasu przemawia. Organy opozycyjne francuskie nie zważają się naturalnie na brzmienie cesarskiego orędzia, a Temps gani milczenie monarchy w sprawie wschodniej. Ze przecięt umiarkowaną większość zdania tego nie podziela, dowodzą nie tylko oklaski, z jakimi mowę tronową w izbie przyjęto, ale także przychylenie się thiers-parti do wniosku większości, by interpelacya lewicy z powodu opóźnionego zwołania Ciała prawodawczego odłożyć aż do stanowczego ukonstytuowania się izby, i co więcej wybór pana Schneidera marszałkiem ogromną większością głosów.

Doniesienia w sprawie zatargu turecko-egipskiego są sprzeczne. Morning Post twierdzi, że niebezpieczeństwo starcia jest usunięte, ponieważ mocarstwa zachodnie popierają usprawiedliwione żądania sułtana, który onegdy miał przesłać wicekrólowi ultimatum. Z drugiej strony dochodzą wieści alarmujące, jakoby Khediwe bynajmniej nie miał chęci uleść temu naciskowi, ale przeciwnie sposobił się do energicznego oporu przeciw roszczeniom W. Porty. I tak czytamy w korespondencji z przeszłego tygodnia z Tryestu do augsburskiej Allg. Ztg.: „Wiarogodne wiadomości, jakie otrzymujemy z Egiptu, potwierdzają moje opinie dawniej już wyrażone o kwestyi turecko-egipskiej. Kwestya ta nie tylko nie zbliża się ku pokojowemu rozwiązaniu, lecz przeciwnie weszła w zwrot nader niebezpieczny dla pokoju europejskiego. W chwili gdy ten list was dojdzie, Hobbard basza z flotą pancerną turecką prawdopodobnie będzie w drodze do Aleksandryi, wioząc do Khedywa ostatnie słowo Wysokiej Porty. Poseł angielski w Carogrodzie, pan Elliot z polecenia swojego rządu, udał się już do Egiptu; a okoliczność, że z nim popłynął wice-admirał angielski Milne z pięciu pancernikami liniowymi pierwszj wielkości, pozwala się domyślać, że Anglia jest przygotowaną do pewnych ewentualności. W istocie, trudno przypuszczać, że Anglia da samą tylko uroczystość stawia na wodach egipskich tak potężną flotę okrętów wojennych. Ta de-

monstracya nabiera tém większego znaczenia, że jak otrzymano tu wiadomość, angielska flota kanałowa, skądajaca się z potężnych parowców lioiowych „Azincourt, Minotaur, Northumberland, Herkules i War-
rion,“ przed kilku już dniami zawinęła do Lizbony i od-
płynęła do Gibraltaru. Ten nagły powrót floty kanałowej angielskiej na morze Środlizienne, które niedawno opuściła, musi mieć bardzo ważną przyczynę. Współ-
cześnie dowiadujemy się, że dowodzący francuską eskadrą pancerną morza Środlizennego, wiceadmirał Jurien de la
Gravère, powołany został do cesarza do Compiègne na
cały tydzień; gdy tymczasem jego eskadra w Tulonie
złożona z siedmiu pancerników, zabiera na pokład nowe
zapasy, amunicyą i pociski. Zestawienie obu tych wiadomości doprowadza do wniosku, że wszystkie te rozpo-
rządzenia i ruchy, muszą mieć cel wyższy i bardzo
ważny. Wiceadmirał Jurien de la Gravière, jest po-
wiernikiem cesarza; jeśli ten przeto na cały tydzień od-
wołał go od komendy, więc chodziło o naradę w rze-
czach z pewnością nader ważnych. Do tych wiadomości
dodawszy dawniejsze ukazanie się floty pancernej włoskiej
w porcie Aleksandryi, wyciągając musimy wniosek, iż
przyszłe rozwiązanie sporu turecko-egipskiego może wy-
wołać poważne starcie między interesami politycznymi
mocarstw zachodnich.“

Dnia 22 z. m. odbył się w Rzymie, jak donosi korespondent Czasu, konsystorz, naprzód publiczny a potem tajny. Ojciec św. udał się naprzód do sali ubiorów, gdzie go czekali kardynałowie, biskupi, senat i inni dostojnicy, a przydziawszy stróży ceremonialny, został przeniesiony na krzesło dla królewskiej, dokąd całe prześwieatne towarzystwo za nim się udało. Tam odebrał posłuszeństwo od kardynałów, poczem nowy kardynał Moreno został wprowadzony przez kardynałów dyakonów, złożywszy uprzednio przysięgę, a ucałowa-
wszy nogę i rękę Ojca świętego, uściskany następnie przez tegoż i przez swych kolegów, zasiadł na swoim miejscu. Po chwili znowu podszedł do tronu Ojca św. i odebrał kapelusze kardynalski. Podczas konsystorza adwokat Bonini wniósł po raz drugi sprawę beatyfikacji Anny Maryi Taigi. Wtedy całe towarzystwo odprowa-
dziło znowu Ojca św. do sali ubiorów, a gdy ten się rozbięrał, udano się w procesji do kaplicy skystyńskiej śpiewając Te Deum. Wychodząc znowu wszyscy uści-
skali nowego kardynała. Na tym konsystorzu publicz-
nym była obecna królowa wirtemburska ze swym dworem, ciałem dyplomatyczne i wielu innych znakom-
itych gości. Następnie odbył się konsystorz tajny, na którym Ojciec św. zamknąłwszy według zwyczaju usta

nowemu kardynałowi, ogłosił nominacje dwunastu biskupów. Rottenburgskim ogłoszony ks. Hefele, sabarskim w Węgrzech ks. Szabó, inni po większej części dla Ameryki i misji. Nazajutrz, to jest dnia 23 z. m. przybyli do Rzymu: arcybiskup Wierzbliński, arcybiskup Szymonowicz i biskup Monasterski. Ten ostatni chory, musiał się zaraz po przybyciu położyć. Dnia 24 z. m. zdążył za nimi biskup Pukalski, a na koniec prałat Sosnowski.

Wiadomości urzędowe.

NPan raczył majorowi pozasłużbowemu i właścicielowi dóbr rycerskich baronowi Wenge w Wenge w powiecie Dortmund nadać order orła czerwonego czwartej klasy.

Korespondencye Dziennika Pozn

Berlin, 1 grudnia.

□ Jednym z więcej zajmujących posiedzeń zeszłego tygodnia było niewątpliwie posiedzenie odbite na dniu 25 listopada w izbie poselskiej. Dziennik nasz wspominał w swoim czasie i to we właściwej rubryce o sprawie pomnika w Celle, w dawniejszym królestwie hanowerskiem, która poruszona na sesji z dnia 26 października przez posła Miquela już wtedy nie małą w izbie wywołała sensację i kazała spodziewać się burzliwej sesji w tym dniu, w którym poseł Miquel po niedostatecznej odpowiedzi ministra wojny, nie mającego potrzebnych jeszcze informacji, zapowiedział, że sprawę tę, która umysły hanowerskie w wysokim oburzyła stopniem, przedmiotem uczyni interpelacji. Przebieg sprawy tej, która z pewnością nie przysporzyła Prusom przyjaciół i w każdym razie służyć może za przyczynek do historii rządów pruskich w Hanowerskiem, jest następujący: Przed dwoma laty umarł w Celle w skutkiem ran odniesionych w bitwie pod Langensalz sierżant Deaker, Hanowerczyk. Był on powszechnie szanowany i lubiany; dla tego liczni jego przyjaciele postanowili mu wystawić pomnik. Myśl ta uczczenia w ten sposób pamięci walecznego żołnierza tak ogólny wywołała zapal, że komitet, wybrany celem zbierania składek i zajęcia się pomnikiem, powziął zamiar już nie tylko sierzantowi Deakerowi, ale tym popległym pod Langensalz wystawienia pomnika, którzy albo z Celle pochodzili, albo służyli w pułkach stojących kiedyś garnizonem w tém mieście. Nie spieszono się wszakże z wystawie-

niem tego pomnika, raz dla tego, że stósownego dla niego nie znaleziono miejsca, wreszcie i z téj przyczyny, ponieważ rozeszła się pogłoska, której skutków obawiano się ze strony władzy, że wystawienie pomnika ma jedynie na celu wywołanie demonstracji hanowerskiej. Po niejakiem dopiero czasie i długich naradach, z czego wynika, że sprawa ta głośna była a nie tajemną, jak minister wojny twierdził, wybrano na żądanie kilku osób zamieszkających w Celle miejsce, które według ich przekonania do nich należało, i które stósownem było do pomieszczenia pomnika. Zaczęto więc robotę około niego, i kiedy praca po tygodniu była bliską końca, jeden z członków komitetu adwokat Kirchhof odebrał rozkaz od władzy wojskowej zniesienia pomnika w przeciągu 24 godzin, ponieważ plac do władzy wojskowej kiedyś należał i pomnik bez jéj uwiadomienia został postawiony. Rozkaz opiewał zarazem, że zniesienie ma nastąpić o 12 godzinie dnia 14 października, w przeciwnym bowiem razie władza wojskowa każe usunąć pomnik, nie czyniąc się bynajmniej odpowiedzialną za uszkodzenia, jakie przy tém wyniknąćby mogły. Adwokat Kirchhof wspólnie z innym członkiem komitetu, który podobny otrzymał rozkaz, udali się natychmiast, t. j. dnia 13 października, do właściwego sądu. Sędzia odnośny, przyjąwszy protokół stósownie do procedury hanowerskiej, wydał tak nazwane inhibitrium, na mocy którego nie wolno było nikomu aż do dalszego naruszać pomnika pod zagrożeniem kary 100 talarów. Rozkaz ten sądowy wręczono nie tylko komendantowi garnizonu w Celle, ale i zastępcy gubernatora wojskowego w Hanowerze tak rychło, że przy ułatwionej komunikacyi ten ostatni miał dosyć czasu do cofnięcia rozkazu. Mimo to w zapowiedzianym dniu i o wyznaczonéj godzinie na rozkaz zastępcy gubernatora, oddział wojskowy, do którego należeli podobno i tacy Hanowrzy, których bracia i krewni polegli w bitwie pod Langensalza, postawiony już pomnik usunął z placu. W przebiegu sprawy téj, która nawet po odpowiedzi ministra taką pozostała, jak ją przedstawiam, okazywało się jasno, że ważność jéj spoczywała głównie na niewzględnienu rozporządzenia sądowego ze strony władzy wojskowej a mniej może na obrażoném uczuciu patriotyzmu mieszkańców miasta Celle. Ostatni bowiem wzgląd ustąpićby musiał przed względami polityki unifikacyjnej téj tak nazwanej rozszerzonej ojczyzny, która pożądziłemi ramiony nie w celach zabórczych, jak to niedawno jeden z posłów wypowiedział, ale w celach narodowo-niemieckich zagarnęła królestwo hanowerskie! *Oraz*

Przygody Władysława Bolskiego

napisał

Wiktor Cherbuliez.

Przetłóżył z Revue de deux Monde's L. Z.

Cześć pierwsza.

(Ciąg dalszy, zobacz nr. 269, 270, 272, 274 i 275).

Dzień, w którym 21 lat doszedłem, należy do najcięższych. Było to w maju. Po śniadaniu dosiadałem już konia i podążyłem do lasku. Poniosłszy niejakie straty w grze, nadlatąłem je dnia poprzedniego rozbiłem banku, a że szczęście zawsze chodzi w parze tak samo jak kaczki, szeptał mi naraz do ucha ładna blondynka, około której dotąd napróżno chodziłem, oszołomiona mą pomyślną gwiazdą: „Wisisie, jutro o dziesiątej wieczór będę w domu.“ Dość winienem, że miałem przepyszno bułanego wierzchowca, że wybornym byłem jeźdźcem, że ludzie obracali się za mną, że niejedna lornetka zwrócona była na mnie i że pochwyciłem niejedną wzrok, który mnie poleżał po sercu. Nigdy mi ten przysmak nie był obojętnym.

Była może piąta godzina, kiedy w wszedł do kawiarni „pod kardynałem“, aby się ochłodzić; zapaliłem cygaro i wyznałem przed sobą samym, że życie jest rozkoszą, masła bułana i kolor płowy najpiękniejszej. Władysław Bolksi urodził się w czepku. Kiedy tak z sobą rozmawiam, wchodzi do kawiarni starzec wysokiego wzrostu, kościści budowy, postawy wojskowej, z wielką brodą i brwiami i bliźną na lewym policzku. Nie potrzebowalem się długo namyslać, aby go poznać. Był to Konrad Trzaska. Nie miałem przecież ochoty zbliżyć się do niego. Wszakże to był tylko profesor języków, który zresztą ani był bułanym ani blondynem. To nie dla mnie był człowiek. Przeszedł, nie dostrzegłszy mnie, usiadł i wziął jeden z dzienników do ręki. Inny jakiś Polak przystąpił do niego i zamówił, ani mi też o to chodziło. Przypatrzywałem się dymskowi mego cygara i powtarzałem sobie: wieczorem o 10 godzinie! Uczułem w włosach moich coś nakształać.

Nasz Trzaska podniósł głos i usłyszałem wyraźnie te słowa: — Co chcesz! to prawdziwy Bolski, a Bolscy zostaną Bolskimi!

Zadrgnąłem, upuściłem cygaro i szybko obejrzałem się na mówiącego, ale Trzaska siedział tyłem i właśnie coś po cichu dalej mówić zaczął... Cóż on chciał przez to powiedzieć, że Bolszy są Bolskimi? Słowa te wymówił bez wyraźnego przycisku i trudno mi było domyślić się ich znaczenia. Postanowiłem zapytać się o nie jego samego, gdy będzie wychodził; lecz otóż w tej chwili przemknął się przed kawiarnią kobieta, któ-

ręk podkasana suknia odsłoniła ślicznie utoczone dwie nóżki. Wstałem i wyszedłem gonić na chwilę za temi nóżkami, a gdy wróciłem do kawiarni, już w niej nie zastałem Trzaski.

— Cóż to za jeden tam siedział? — spytałem garsona.

— To przecież był sławny Trzaska — odrzekł.
Więcej nie mógł mi o nim powiedzieć, bo właśnie
nań zawołano.

Wychodząc, mówiłem do siebie: Więc on sławnym jest ten profesor języków! zapewne posiada ich z jakie osmnaście, licząc w to chiński i algonkiński. Dziwna to sława!... Kogoż to on przecie ma na myśli z tymi swymi Bolskimi?

Będąc tego dnia w dobrym humorze, patrzałem się na wszystko rózwo i tłómaczyłem sobie wszystko na dobre. Zawnioskowałem więc ostatecznie, że Trzaska przechadzać się musiał po lasku, że zobaczył mnie na moim bułanym, że uderzony mą dobrą postawą i mym talentem prowadzenia konia, przypatrzył mi się bliżej, poznał i powiedział sobie: trudni się tём samém rzemiosłem, co jego ojciec. Jaki ojciec, taki syn. A nie dawno co powiedział w kawiarni: to prawdziwy Bolski, a Bolsey zostaną Bolskimi. Zresztą to dzielny człowiek ten Trzaska — pomyślałem — i ma rzut oka nie lada. Niech mu tam Pan Bóg błogosławi, jemu i jego chłeczynie! Ja bo znam pewnego szczęśliwego śmiertelnika, który dziś o godzinie 10 wieczorem...

Traf zrzucił, żem, idąc na obiad, spojrział w okno księgarni i zoczył książkę z szarą okładką o czarnych brzegach z następującym tytułem, wypisanym czerwonymi literami: *Moje wspomnienia przez Konrada Trzaskę*. Kupiłem natychmiast egzemplarz, włożyłem do kieszeni a potem poszedłem na obiad do Brebanta. Człowiek gdy sam jest, jest szybko. Po obiedzie spojrzałem na zegarek. Jeszcze czekać muszę dwie i pół godziny — dwa wiek! Wróciłem do domu, zapaliłem lampę i przechradać się po pokoju zacząłem. Naraz czuję coś ciężkiego w kieszeni, siggam do niej: — Al to pan Trzaska w niej siedzi — mruknąłem i spojrzawszy na tytuł: — *Pamiętniki Konrada Trzaski*! O czémże ten profesor wspomina? Może miał niejedno szczęście u kobiet; może która z jego uczennic robiła mu słodkie oczy. — I przewracać zacząłem stronnice książki.

Ten bakałarz był także w bitwach, a całe szczęście, o jakimś wspominał, byli kozacy, więzienia w podziemiach, kaci, różni, kajdani, płaszczyzny śnieżne, noc i straszliwa cisza Syberyi. Nasamprzód służył wojskowo w powstaniu r. 1831. Uczestniczył w napadzie na Belweder i był pod Gradowem. Kiedy Polska zmuszona została schylić głowę pod jarzmo, Trzaska szukał śmierci w ostatniej bitwie, ale śmierć go nie chciała. Wydał się z kraju do Paryża, gdzie zaczął dawać lekcye, z których się utrzymywał. W dziesięć lat później podążył znów do Polski jako wysłannik rewolucyi, przebrany za handlarza towarów, z paką na plecach, przebiegł całe Królestwo, aż nareszcie został wytopiony, poznany i skazany na Syberya. Po trzech latach udało mu się ucieknąć; przeszedł w poprzek całą Kamczatkę, wszedł na okręt amerykański, trudniący się połowem wielorybów i przepłynąwszy na nim cieśninę Beringa, zrobił podróż naokoło świata, aby wrócić do Paryża.

gdzie zaczął na nowo dawać lekcje. Kiedy Węgry powstały, był wprawdzie męczony reumatyzmem i ciał, jak zwykł był się wyrażać, Syberją w swém ciele, ale poszedł mimo to raz jeszcze położyć swe życie w ofierze. Wstąpił do legii polskiej, nadstawił karku w trzech potyczkach i dwóch bitwach, dostał cięcie pałasza tak potężne w głowę, że mu ją niemal rozplatanio, wyleczył się z rany jak gdyby cudem a gdy się wojna skończyła, wrócił do Paryża dawać znów lekcje na miasteczku.

Wszystkie te przygody opowiedziane były stylem starożytnej prostoty. Żadna tam nie przebiegała chędnadania sobie znaczenia; zdawało się czytelnikowi, że to, co Trzaska zrobił, mógł być każdy zrobić w jego miejscu. Wymknąć się z Syberji, przemknąć przez Kamczatkę, to rzecz bardzo prosta i naturalna; na to trzeba było tylko mieć nogi, milczeć i być trochę odważnym. W całej tej książce nie napotkałem żadnych skarg na losy ani na ludzi, ciąglą baczność na odianie sprawiedliwości nieprzyjacielowi, szczególniejszą mieszaninę pewnego rodzaju rubasznosci i najwykwintniejszej delikatności, starego doświadczenia, które już przestało wierzyć w szczęście i sumienia, które zachowało całą swą świeżość i wierzyło jeszcze w cnotę, o której Brutus był zwątpił; słowem, była to historia bohatera, pisana piórem uczciwego człowieka. Godło książki wzięte było z Mickiewicza: „Polak nazywa się pielgrzymem, ponieważ ślubował iść do ziemi świętej, do wolnej ojczyzny; przysiągł, że dążyć nie przestanie do niej dopóty, dopóki jej nie znajdzie.“

Zacząłem czytać książkę, stojąc na jednej nodze, nakłaskotał żórawia wśród bagna, potem na obu nogach, narzeczcie siedząc na brzegu stolika. Zegar już wybił dziewięć, ja zadrgnąłem. — To rzecz dziwna — mówiłem sobie — byłbym zapomniał o mej miłosnej schadzce!

Wstałem i ubrałem się szybko. Jeszcze miałem czas; usiadłem więc z kapeluszem na głowie i znów czytać zacząłem. Dziesiąta wybiła. Podniosłem głowę, rozmyśliłem się, przeszedłem dwa razy raz po pokoju i — wyszedłem. Kiedyś już zeszedł ze wschodów, zatrzymałem się, machając rękoma. Po dwóch minutach marzenia wolnym krokiem na wschody powracać zacząłem, wszedłem do mego pokoju, rzuciłem na ziemię kapelusz, rękawiczki, krawacie i utonąłem w fotelu.

Już dzień był a ja jeszcze czytałem; — wtenczas to zrozumiałem słowa pisma św.:

— „I nawiedził mnie duch Pana i uczułem, że włosy moje najeżyły się!“

O ósmém rano wyszedłem, a wróciwszy, przyniosłem ze sobą całą paczkę ksiąg, broszur, historyj polską, Mickiewicza odczyty i księgę Pielgrzymów. Codziennie nasycam się tym pokarmem; im więcej go spożywam, tém więcej go pożadam. Jagiellony, Wazowie, Sobieski, naród elekcyjny na koniach, który oczekiwał głosu Boga, potem obfedy, niezgody, nierząd w myślach i woli, a wkrótce potem straszliwe kary, ptaki drapieżne rozszarpujące swą zdobycz, tajemnicze żyz i krew, rzenie, męki, szaty bohaterstwa sięgającego po niepodobieństwo a dotrzymującego jeszcze nad obietnicę więcej, z kolei porwy, odwagi i opór bierny, lud po- grzebany, umarły, który bezustannie kamień grobowy odchyła, aby pokazać Europie rany otwarte, potkrawy

i rozdzierający serce uśmiech nieśmiertelnych nadziei; — po raz pierwszy poznałem te dzieje pełne cudów... Były chwile, w których serce me rozstąpiło się w pierśsiach i płakałem... Czemuż nie zebrałem tych łez bólesci, żalu i wiary: O! jakbym się niemi napoił!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika Lwowska.

Czém się teraz zajmujemy. — Nieco o naszych stowarzyszeniach
nieżywych a nie mogących umrzeć. — Wykłady dla kobiet. —
Nowe książki. — Nowa szkoła dramatyczna. — Stara dyrekcya
teatru. — Obchód rocznicy listopadowej.

□ Dzięki Bogu, że sejm zamknięty; można sobie przecież swobodnie nieco pogawędzić o naszych stosunkach miejscowych, nie wadząc o politykę, która aż do znużenia i do znudzenia musiały dzienniki karmić swych czytelników. I jaką to polityką! Polityką poza granicami naszej prowincyi, ba, poza rogatkami Lwowa, nie zrozumiałą dla nikogo, chyba tylko dla bardzo pilnych czytelników naszych dzienników miejscowych. Karmiono polityką to mamelucką, to stańczykowską, to rezolucjonistowską, to smolkowską, to lichu wie jaką, byle nie polską. O co się spierano, o co się za łby tak sierdziście wodzono, nie łatwo zrozumie ktoś za lat 5, jeżeli mu się do rąk nie dostaną jakie dokładne życiorysy menerów naszych partyi, partyek i tych partyek odcieni — nie pisane jednak, broń Boże, przez naszych lwowskich Plutarchów — a przynajmniej owo album fotograficzne z dokładnemi kontrefaktami naszych Brzytwetek, Katastroliczów, Gramatyk itd., którym się tu obecnie cieszymy, a w którym przedewszystkiem brakuje jeszcze wiernie, wprost z natury zdjętej i nie retuszowanej fotografii naszego galicyjskiego czerwonego księcia. Ciekawśmy istotnie widzieć, jak ta fotografia, bez której album byłoby niekompletnym, wyglądać będzie w odcinku Kraju.

Sejm więc zamknięty. Nasi wybrańcy wypoczywają po trudach tegorocznej kampanii sejmowej, odczytują sprawozdania stenograficzne, aby się ucieszyć jeszcze raz swojemi mowami sejmowemi, albo zaznajomić z niemi swe połowice i uczą się na Słowie czytać grażdanke, jedni dla tego, że zawarli zgodę z używającym tego pisma narodem, drudzy dla tego, że przewidują, bliskie przyłączenie Galicji wschodniej, jako kraju odwiecznie ruskiego, do jednej z gubernii „zapadnoji Rosyi.“ Wybrani zaś z pomiędzy tych wybranych gotują się do wyprawy na Wiedeń, aby tam „zgruchotać“ ministerstwo i z gotowieniską rezolucją w kieszeni powrócić triumfując do Lwowa.

Na teraz więc schwaliliśmy do szafy politykę wraz z kółkami i kontuszem sejmowym i zabraliśmy się z całą energią do spraw innych, np. do rozwijania zagadki: dla czego to rząd niemiecki zaprowadza w urzędach swoich w Galicyi język polski, a zarządy kolei krajowych, a nawet zarząd banku krajowego, złożony z Polaków, a przynajmniej z „krajowców,” którzy nawet czasem po polsku się przebiegają, używają języka niemieckiego jako urzędowego? Zabraliśmy się do medytacyi, czyśmy dobrze zrobili, dając subwencję kierow-

